Naucz mnie twojego miasta

Zna wszystkie ulice. Jej pragnienia musi dopiero poznać



Laura Bellini

Naucz mnie twojego miasta

Zna wszystkie ulice. Jej pragnienia musi dopiero poznać

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384905470

ALL-IN Rafał Płonkowski

SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Człowiek, który znał wszystkie drogi 10
Rozdział 2 - Zasady wspólnej drogi 21
Rozdział 3 - Miejsce, którego nie było na mapie..... 33
Rozdział 4 - Poza wyznaczoną trasą 44
Rozdział 5 - Prawo do własnego wieczoru 57
Rozdział 6 - Kiedy droga prowadzi bliżej 69
Rozdział 7 - Między pocałunkiem a codziennością..... 80
Rozdział 8 - Wśród ludzi, których znał..... 88
Rozdział 9 - Mapa, której nie chcieliśmy zgubić 100
Rozdział 10 - Tam, gdzie kończy się mapa 112
Rozdział 11 - Bliskość ma swoje granice.....124
Rozdział 12 - Kto trzyma ołówek 138
Rozdział 13 - Cena własnego głosu.....148
Rozdział 14 - To, czego nie mówiliśmy 161
Rozdział 15 - Granica, której nie wolno przekraczać.....172
Rozdział 16 - Kiedy trzeba odejść 191
Rozdział 17 - Drogi, które wybieramy sami..... 203
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez gwarancji 213
Rozdział 19 - Nie wystarczy znać drogę 222
Rozdział 20 - Miasto, w którym możemy zostać..... 232

INTRO

Pierwszą rzeczą, którą zaznaczyłam na mapie, nie była ulica, plac ani budynek. Była nią brama, przez którą większość ludzi przechodziła bez zastanowienia, nie zauważając, że za nią zaczyna się zupełnie inny świat.

Stałam przed nią w chłodny, październikowy poranek, trzymając pod pachą teczkę z papierami i kubek kawy, który zdążył już wystygnąć. Nowa dzielnica Łodzi budziła się powoli. Na parterach świeżo wyremontowanych kamienic zapalały się światła, ktoś otwierał niewielką piekarnię, a po drugiej stronie ulicy dostawca próbował wcisnąć samochód w miejsce, które najwyraźniej zaprojektowano dla pojazdów o połowę mniejszych. Za moimi plecami przejechał tramwaj, pozostawiając po sobie charakterystyczny metaliczny dźwięk.

Lubiłam takie poranki. Miasto nie zdążyło jeszcze założyć swojej oficjalnej twarzy. Nie było tłumów, aparatów fotograficznych ani ludzi zatrzymujących się na środku chodnika, żeby przeczytać tablicę z historią kolejnego odrestaurowanego budynku. Były za to uchylone okna, zapach świeżego pieczywa, nierówne chodniki i miejsca, które nie miały żadnego powodu, żeby komukolwiek się podobać. Właśnie dlatego wydawały mi się interesujące.

Od lat rysowałam mapy. Nie takie, jakie można było znaleźć w turystycznych przewodnikach, z grubymi liniami, kolorowymi ikonami i obowiązkowymi punktami, przy których każdy powinien zrobić zdjęcie. Interesowały mnie przejścia, skróty, małe lokale, podwórka, schody prowadzące donikąd i miejsca, których znaczenie znało zaledwie kilka osób. Uważałam, że mapa nie musi mówić

człowiekowi, gdzie powinien pójść. Powinna raczej pokazywać mu, gdzie może znaleźć coś, czego jeszcze nie szukał.

Tego dnia miałam własny plan. Chciałam przejść wyznaczoną trasę, sprawdzić kilka zaznaczonych wcześniej punktów i zdecydować, które z nich zasługiwały na miejsce w moim autorskim spacerze. Nie potrzebowałam przewodnika. Nie potrzebowałam konsultanta. Przede wszystkim nie potrzebowałam nikogo, kto stanąłby obok mnie i wyjaśniał, co powinnam zobaczyć.

Miałam trzydzieści jeden lat i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że samodzielność nie polega na tym, by nigdy nie przyjmować pomocy. Polega na tym, by móc zdecydować, kiedy jest potrzebna.

Otworzyłam teczkę i wyjęłam wydruk roboczej mapy. W jednym z podwórek zaznaczyłam niewielki punkt, który poprzedniego dnia przyciągnął moją uwagę. Prowadziła do niego wąska brama, a za nią znajdowała się stara klatka schodowa z drewnianymi drzwiami i oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec. Na zdjęciu satelitarnym miejsce wyglądało jak kolejna pusta przestrzeń pomiędzy budynkami. W rzeczywistości miało własny rytm, zapach wilgotnych murów i światło, które przez kilka minut rano padało na ścianę pod niezwykłym kątem.

Zrobiłam dwa kroki w stronę bramy, kiedy usłyszałam za sobą głos.

— Przepraszam, szuka pani kogoś?

Odwróciłam się. W drzwiach niewielkiego sklepu stała kobieta w ciemnym swetrze, z kluczami zawieszonymi na palcu. Miała siwe włosy związane niedbale z tyłu głowy i

spojrzenie osoby, która nie zamierzała udawać, że nie zauważyła obcej kobiety krążącej przed jej domem.

— Nie. Oglądam podwórko.

— A po co?

Pytanie było proste, ale odpowiedź wymagała chwili namysłu.

— Tworzę mapę tej okolicy. Chciałabym pokazać miejsca, których nie ma w typowych przewodnikach.

Kobieta spojrzała na moją teczkę, potem na bramę.

— To podwórko nie jest atrakcją turystyczną.

— Wiem. Właśnie dlatego mnie zainteresowało.

Nie uśmiechnęła się. Przez moment miałam wrażenie, że powinnam wyjaśnić więcej, ale nie chciałam przekonywać jej do czegoś, czego sama jeszcze nie potrafiłam dobrze opisać.

— Mieszkają tu ludzie — powiedziała. — Niektórzy nie lubią, kiedy obcy zaglądają im w okna.

Spojrzałam ponownie na bramę. Na mojej mapie zaznaczyłam ją jako interesujące przejście. Nie pomyślałam jednak, że dla kogoś może być przede wszystkim wejściem do domu.

— Ma pani rację. Nie chcę nikomu przeszkadzać.

Kobieta przez chwilę milczała, jakby sprawdzała, czy mówię poważnie.

— Jeśli chce pani zobaczyć, jak wygląda to miejsce, mogę pokazać od strony sklepu. Ale proszę nie wpisywać adresu.

Skinęłam głową i schowałam długopis. Weszłam za nią do niewielkiego pomieszczenia, w którym pachniało kawą i

detergentem. Z tyłu znajdowały się drzwi prowadzące na podwórko. Kobieta otworzyła je tylko na tyle, żeby pokazać mi widok.

Zobaczyłam rower oparty o ścianę, kilka donic z roślinami, dziecięcą hulajnogę i okno, na którego parapecie stała porcelanowa figurka. Żadna z tych rzeczy nie miała wartości historycznej. Żadna nie znalazłaby się na oficjalnej mapie miasta. A jednak właśnie w nich było coś, czego szukałam.

— Rozumiem — powiedziałam cicho.

— Dobrze. Bo nie każdy rozumie od razu.

Wyszłam ze sklepu z nową notatką, ale też z nieprzyjemnym poczuciem, że mój starannie przygotowany plan był mniej kompletny, niż mi się wydawało. Mapa mogła być piękna, dokładna i pełna interesujących miejsc, a mimo to pozostawać nieuczciwa wobec ludzi, których życie rozgrywało się poza liniami i symbolami.

Usiadłam na niskim murku i otworzyłam szkicownik. Zamiast dodać kolejny punkt, wykreśliłam poprzedni. Obok napisałam: „Nie wszystko, co można znaleźć, trzeba pokazywać".

Ta myśl spodobała mi się bardziej niż jakikolwiek element dotychczasowego projektu.

Przez kolejne pół godziny spacerowałam bez pośpiechu. Zatrzymywałam się przy witrynach, fotografowałam detale elewacji i notowałam nazwy ulic. W jednym miejscu znalazłam niewielki warsztat, w którym starszy mężczyzna naprawiał zegarki. W innym schody prowadzące do lokalu, którego szyld był tak wyblakły, że można go było odczytać dopiero z bliska. Każde z tych miejsc miało własną historię, ale nie zamierzałam jej sobie dopowiadać.

Kiedy wróciłam do głównej ulicy, telefon zawibrował w kieszeni płaszcza. Wiadomość pochodziła od osoby koordynującej projekt spaceru.

„Mam dla ciebie kontakt do przewodnika, który zna tę część Łodzi lepiej niż ktokolwiek, kogo możemy polecić. Radosław Żak. Podobno potrafi opowiedzieć o każdej ulicy. Chciałabym, żebyście porozmawiali przed ostatecznym zatwierdzeniem trasy".

Westchnęłam.

Współpraca z przewodnikiem nie była częścią mojego pierwotnego planu. Rozumiałam jednak, że jeśli spacer miał być czymś więcej niż prywatnym szkicownikiem, potrzebowałam sprawdzić informacje, których sama nie mogłam zweryfikować. Nie chciałam opierać projektu na własnych domysłach. Z drugiej strony nie zamierzałam oddawać nikomu prawa do decydowania, które miejsca są warte pokazania.

Odpisałam krótko, że możemy się spotkać.

Potem jeszcze raz spojrzałam na mapę. Znałam już kilka ulic, kilka przejść i kilka historii, których nie zamierzałam nikomu odbierać. Wiedziałam, co chcę stworzyć, choć nie wiedziałam jeszcze, jak wiele będę musiała zmienić, żeby doprowadzić ten projekt do końca.

Nie znałam Radosława Żaka. Nie wiedziałam, jak wyglądał, jak mówił ani dlaczego miałby znać tę dzielnicę lepiej ode mnie. Wiedziałam tylko, że podobno potrafił znaleźć drogę w miejscach, w których inni widzieli wyłącznie ślepe zaułki.

Zastanawiałam się, czy będzie umiał zrozumieć, że czasami najciekawsza droga zaczyna się tam, gdzie ktoś postanawia zejść z wyznaczonej trasy.

Schowałam szkicownik do torby i ruszyłam przed siebie. Po raz pierwszy tego dnia pomyślałam, że może największym wyzwaniem nie będzie narysowanie miasta takiego, jakie jest, ale znalezienie kogoś, kto pozwoli mi zobaczyć je po swojemu.

A jeśli człowiek, który znał każdą ulicę, nie potrafił zaakceptować, że nie wszystkie prowadzą tam, dokąd sam by wybrał?

Rozdział 1 - Człowiek, który znał wszystkie drogi

Spotkanie wyznaczono na dziesiątą, w niewielkiej kawiarni urządzonej na parterze dawnej fabryki. Wybrałam to miejsce nie dlatego, że było szczególnie urokliwe, lecz dlatego, że znajdowało się dokładnie pomiędzy dwiema częściami dzielnicy, które chciałam połączyć na mapie. Z okna można było zobaczyć odrestaurowaną elewację jednego budynku i zupełnie zwyczajny sklep spożywczy po drugiej stronie ulicy. Lubiłam takie zestawienia. Przypominały mi, że miasto nie składa się wyłącznie z tego, co ktoś uznał za warte odnowienia.

Przyszłam piętnaście minut wcześniej. Rozłożyłam na stoliku szkice, notatki i wydruk mapy z zaznaczonymi punktami. Miałam przygotowane pytania dotyczące historii okolicy, nazw dawnych zakładów i kilku przejść, których przebieg zmienił się podczas ostatnich remontów. Nie zamierzałam jednak oddawać rozmówcy całego projektu. Potrzebowałam jego wiedzy, nie pozwolenia na własną pracę.

Kiedy kelnerka przyniosła mi drugą kawę, drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna, którego rozpoznałam po opisie otrzymanym poprzedniego dnia. Nie dlatego, że wyglądał jak przewodnik. Nie miał aparatu przewieszonego przez ramię, turystycznego plecaka ani żadnego z tych drobiazgów, które ludzie lubią przypisywać osobom opowiadającym o mieście. Miał ciemną kurtkę, granatowy sweter i złożony na pół arkusz papieru trzymany w dłoni.

Rozejrzał się po sali, dostrzegł mnie i ruszył w moją stronę.

— Irmina Borek?

— Tak. Radosław Żak?

— We własnej osobie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego uścisk był pewny, ale krótki. Zauważyłam, że najpierw spojrzał na mnie, a dopiero potem na dokumenty rozłożone na stole.

— Przepraszam za punktualność — powiedział, siadając naprzeciwko. — Zwykle przychodzę wcześniej, żeby sprawdzić, czy miejsce spotkania nadal istnieje.

— Kawiarnie raczej nie znikają z dnia na dzień.

— W tej dzielnicy nie byłbym tego taki pewien.

Uśmiechnął się lekko. Nie wiedziałam jeszcze, czy był to żart, czy komentarz wynikający z doświadczenia. Odłożył arkusz na stół i zamówił espresso.

— Dostałem od Marty podstawowe informacje — zaczął. — Autorski spacer, nowa dzielnica, miejsca poza głównymi trasami. Mam pomóc w weryfikacji i zaproponować kilka punktów.

— Nie całkiem — odpowiedziałam. — Mam już trasę roboczą. Chciałabym, żeby pomógł mi pan sprawdzić fakty, dostępność miejsc i lokalne historie. Nie szukam kogoś, kto wymyśli ją za mnie.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem, jakby właśnie usłyszał coś, co należało zapamiętać.

— Dobrze, że pani to mówi. Zdarza się, że ludzie zamawiają spacer, a potem oczekują, że przewodnik wymyśli im również powód, dla którego mają go zrobić.

— Ja powód mam.

— Jaki?

Przesunęłam w jego stronę pierwszy arkusz. Na mapie zaznaczyłam dziewięć punktów, połączonych cienką linią. Niektóre znajdowały się przy ulicach, które znał każdy mieszkaniec okolicy, inne w miejscach, które łatwo było przeoczyć. Był tam stary warsztat, mały plac pomiędzy kamienicami, fragment dawnego kompleksu przemysłowego i kilka lokali, które nie miały żadnych tablic informacyjnych.

— Chcę pokazać dzielnicę bez udawania, że jest czymś innym, niż jest — wyjaśniłam. — Nie chcę opowiadać o Łodzi wyłącznie przez fabrykantów, architekturę i daty. Interesuje mnie codzienność. Miejsca, które ludzie mijają, bo mają tam swoje sprawy. Detale, których nie ma w folderach promocyjnych.

Radosław pochylił się nad mapą. Przez chwilę nic nie mówił. Przesuwał wzrokiem po oznaczeniach, a potem wyjął z kieszeni cienki ołówek.

— Mogę?

— Proszę.

Zaznaczył niewielki odcinek między dwoma punktami.

— Tutaj jest problem.

— Jaki?

— Przejście jest zamknięte od trzech miesięcy.

— Według map miejskich pozostaje dostępne.

— Według map miejskich można też dojść do budynku, którego nie ma od sześciu lat.

Nie spodobał mi się ton jego odpowiedzi. Nie dlatego, że był nieuprzejmy. Przeciwnie, mówił spokojnie, bez cienia

złośliwości. Właśnie ta pewność siebie sprawiała, że miałam ochotę natychmiast znaleźć argument, który postawiłby sprawę na właściwym miejscu.

— Dlatego spotykamy się z kimś, kto zna teren — odparłam. — Ale jeśli ma pan dane o zamknięciu, chętnie je zobaczę.

— Mogę pokazać.

Zaznaczył drugi punkt.

— Tu z kolei nie ma sensu prowadzić grupy od strony głównej ulicy. Lepiej wejść od południa.

— Dlaczego?

— Bo od północy trzeba przejść przez parking dostawczy. W godzinach porannych nie jest to szczególnie przyjemne.

— Spacer nie będzie wycieczką dla osób, które boją się zobaczyć samochód dostawczy.

— Nie twierdzę, że będzie. Twierdzę, że można tego uniknąć.

Przyjrzałam mu się uważniej. Miał około trzydziestu kilku lat, może trzydzieści siedem, i twarz człowieka, który częściej obserwował, niż mówił. Jego ciemne włosy były nieco dłuższe na górze, a kilkudniowy zarost nadawał mu wygląd mniej formalny, niż sugerował sposób prowadzenia rozmowy. Nie próbował robić na mnie wrażenia. Nie szukał też potwierdzenia, że jego uwagi są słuszne. Po prostu zakładał, że powinny zostać uwzględnione.

— Ma pan zwyczaj poprawiania cudzych map? — zapytałam.

Podniósł wzrok.

— Tylko kiedy ktoś zamierza według nich prowadzić ludzi.

— A jeśli ktoś chce najpierw zdecydować, dokąd chce ich zaprowadzić?

— Wtedy powinien znać drogę.

— Znam.

— W takim razie połowa pracy jest już wykonana.

Oparłam się o krzesło. Przez moment miałam ochotę zamknąć teczkę i zakończyć spotkanie. Nie dlatego, że Radosław powiedział coś obraźliwego, ale dlatego, że wyczuwałam w nim rodzaj pewności, który mógł okazać się trudny do zniesienia podczas wielotygodniowej współpracy.

Z drugiej strony miał rację w kwestii zamkniętego przejścia.

— Chciałabym przejść z panem fragment trasy — powiedziałam w końcu. — Nie po to, żeby oglądać wszystko, co pan uważa za ważne. Chcę sprawdzić, czy moje punkty mają sens.

— To uczciwe.

— I nie zamierzam zmieniać każdego miejsca tylko dlatego, że zna pan lepszą drogę.

— Nie oczekuję, że zmieni pani każde miejsce.

— Brzmiało, jakby pan oczekiwał.

— Może źle się wyraziłem.

Pierwszy raz zobaczyłam, że potrafi przyjąć uwagę bez natychmiastowego kontrataku. Zauważyłam to i nie chciałam przyznać, że zrobiło na mnie dobre wrażenie.

Wstaliśmy od stolika. Radosław złożył mapę, ale nie schował jej do teczki. Wyszliśmy na ulicę, gdzie

październikowe słońce odbijało się od szyb nowego budynku. Ruszyłam w stronę pierwszego punktu, a on szedł obok mnie, nieco z tyłu. Po kilkudziesięciu metrach wskazał wejście do wąskiego przejścia.

— Tędy będzie szybciej.

— Nie chcę iść najszybciej.

— W porządku. Chciałem tylko pokazać możliwość.

Skręciłam w drugą stronę. Po drodze minęliśmy zakład krawiecki, którego witryna była niemal całkowicie zasłonięta materiałem. Zatrzymałam się, żeby zrobić zdjęcie szyldu. Radosław nie zapytał, co fotografuję. Zamiast tego powiedział:

— Prowadzi go pani Elżbieta. Pracuje tu od ponad dwudziestu lat. Jeśli chce pani opowiedzieć o tym miejscu, lepiej zapytać ją, zanim zrobi pani zdjęcie od środka.

— Nie planowałam wchodzić bez pytania.

— Wiem. Wolę uprzedzić.

— Czy zawsze zakłada pan, że ktoś nie wie, jak się zachować?

Odwrócił głowę w moją stronę.

— Nie. Ale często spotykam ludzi, którzy przyjeżdżają z gotowym pomysłem na czyjeś życie. Potem są zdziwieni, że mieszkańcy nie chcą występować w ich opowieściach.

Nie odpowiedziałam od razu. Przypomniałam sobie kobietę ze sklepu i notatkę, którą zrobiłam poprzedniego dnia. Nie zamierzałam tłumaczyć mu, że właśnie tego zaczynałam się uczyć.

— To akurat rozumiem — powiedziałam.

— Dobrze.

Zatrzymaliśmy się przy niewielkim placu, którego nie było na żadnej z popularnych map turystycznych. Stała tam ławka, kilka drzew i stary kiosk z zamkniętą roletą. W tle widać było fragment ceglanej ściany dawnej fabryki. Nie było w tym miejscu niczego spektakularnego, ale światło układało się na murze w sposób, który natychmiast przyciągnął moją uwagę.

Wyjęłam szkicownik i zaczęłam rysować.

Radosław przez chwilę stał obok. Potem wskazał kiosk.

— Ten punkt ma historię, której nie znajdzie pani w archiwum.

— Jaką?

— Przez wiele lat sprzedawano tu gazety, bilety i papierosy. Właściciel znał wszystkich, którzy codziennie przechodzili przez plac. Wiedział, kto zmienił pracę, kto się przeprowadził, a kto przestał przychodzić. Kiedy zamknął kiosk, ludzie zaczęli mówić, że plac stracił swoje centrum.

— A pan skąd to wie?

— Od ludzi, którzy tu przychodzili.

— Rozmawiał pan z nimi?

— Z częścią. Z niektórymi przez lata.

Zanotowałam jego słowa, ale nie wpisałam ich jeszcze do projektu. Chciałam najpierw sprawdzić, czy właściciel kiosku zgodzi się na wykorzystanie swojej historii. Radosław zauważył, że nie stawiam żadnego symbolu na mapie.

— Nie zaznaczy pani?

— Na razie nie. Najpierw chcę wiedzieć, czy to miejsce może opowiedzieć swoją historię bez naruszania czyjejś prywatności.

Spojrzał na mnie przez moment, a potem skinął głową.

— To rozsądne.

— Nie musi pan być zaskoczony.

— Nie jestem.

Jego uśmiech pojawił się tylko na chwilę, ale wystarczył, żebym zauważyła zmianę w jego twarzy. Wcześniej wydawał mi się nieco surowy. Teraz zobaczyłam, że potrafi być ciepły, choć nie rozdaje tego każdemu, kogo spotyka.

Przeszliśmy jeszcze kilka ulic. Przy każdym punkcie Radosław dodawał coś od siebie, czasem poprawiając nazwę, czasem wskazując zmianę w układzie budynków. Niektóre informacje były bardzo przydatne. Inne wydawały mi się niepotrzebnym rozszerzeniem tematu. Kiedy zaproponował przesunięcie jednego punktu o kilkaset metrów, odmówiłam. Przyjął to, choć zauważyłam, że przez chwilę patrzył na mapę tak, jakby nadal rozważał swoją wersję.

Przed południem usiedliśmy na ławce. Rozłożyłam szkicownik pomiędzy nami.

— Mam pytanie — powiedziałam. — Dlaczego zgodził się pan na ten projekt?

— Marta poprosiła.

— To wiem. Ale dlaczego pan nie odmówił?

Zastanowił się.

— Bo lubię pokazywać ludziom miejsca, których sami by nie znaleźli. I dlatego, że coraz częściej spacery po Łodzi wyglądają tak, jakby miasto składało się z kilku obowiązkowych punktów. A przecież ludzie mieszkają również pomiędzy nimi.

— W takim razie mamy przynajmniej jeden wspólny cel.

— Wygląda na to, że tak.

— Ale mamy różne metody.

— To jeszcze nie musi być problem.

Spojrzałam na niego. W jego głosie nie było ironii. Brzmiał tak, jakby naprawdę uważał różnice za coś, co można wykorzystać.

— Zobaczymy — powiedziałam.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy skrzyżowaniu. Miałam skręcić w lewo, ale Radosław wskazał chodnik po prawej stronie.

— Tędy dojdzie pani szybciej do kawiarni.

— Wiem.

— Oczywiście.

— Chciałam jeszcze zobaczyć tamtą elewację.

Popatrzył na budynek, potem na mnie.

— W takim razie tamtędy.

Nie skomentował mojego wyboru. Nie próbował przekonywać, że istnieje lepsza trasa. Po prostu ruszył obok mnie. Ten drobny gest sprawił, że poczułam się swobodniej niż podczas całej wcześniejszej rozmowy.

Przy kawiarni wymieniliśmy się numerami telefonów. Radosław zapisał mój kontakt, a potem jeszcze raz spojrzał na mapę.

— Potrzebuję czasu, żeby przygotować listę miejsc, które warto zweryfikować.

— Ja też. Prześlę panu aktualny szkic.

— Dobrze. Tylko proszę nie traktować moich uwag jako próby przejęcia projektu.

— A pan niech nie traktuje moich decyzji jako błędów wymagających natychmiastowej korekty.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Potem uśmiechnął się szerzej.

— Umowa.

Podał mi rękę, a ja ją uścisnęłam.

Nie wiedziałam jeszcze, czy ta współpraca okaże się dobrym pomysłem. Wiedziałam natomiast, że Radosław Żak nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnowali z własnego zdania. Ja również nie miałam takiego zamiaru.

I być może właśnie dlatego, kiedy odszedł w stronę przystanku, jeszcze przez chwilę patrzyłam za nim, zamiast od razu wrócić do swoich notatek.

Dopiero w pracowni, kiedy rozłożyłam mapę na dużym stole, zrozumiałam, jak wiele drobnych zmian zaproponował podczas spaceru. Nie wszystkie były potrzebne, ale kilka rzeczywiście mogło uchronić mnie przed błędami. Zaznaczyłam zamknięte przejście, dopisałam informację o godzinach dostaw i postawiłam znak zapytania przy kiosku.

Nie chciałam jednak, żeby jego uwagi stały się automatycznie nową wersją projektu. Każdą zamierzałam sprawdzić samodzielnie.

Telefon zawibrował. Wiadomość od Radosława zawierała zdjęcie fragmentu mapy z zaznaczoną alternatywną drogą.

„Nie musi pani jej wykorzystywać. Warto tylko wiedzieć, że istnieje”.

Przeczytałam ją dwukrotnie. Odpisałam:

„Wiedzieć to nie to samo, co wybrać".

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

„Zaczynam rozumieć, że będzie pani pilnować tej różnicy".

Odłożyłam telefon i wróciłam do rysowania. Nie byłam pewna, czy właśnie się ze mnie droczył, czy naprawdę próbował zrozumieć moje podejście. W każdym razie po raz pierwszy od dawna rozmowa o zawodowym projekcie nie kończyła się na wymianie plików i terminów. Zostało po niej coś, czego nie potrafiłam jeszcze nazwać.

Rozdział 2 - Zasady wspólnej drogi

Następnego dnia spotkaliśmy się w mojej pracowni. Zaprosiłam Radosława na siedemnastą, ponieważ przed południem musiałam dokończyć ilustrację dla innego klienta. Nie zamierzałam przesuwać własnych obowiązków tylko dlatego, że nowy projekt wymagał zaangażowania dwóch osób. Jeśli mieliśmy pracować razem przez kilka następnych tygodni, od początku chciałam ustalić, że każde z nas ma również życie poza tą współpracą.

Moja pracownia mieściła się na drugim piętrze starej kamienicy, w lokalu wynajmowanym przez kilku twórców. Zajmowałam niewielki pokój z dużym oknem, drewnianym stołem i regałem pełnym papierów. Na jednej ścianie wisiały próbki kolorów, na drugiej szkice map, które nigdy nie trafiły do żadnego wydawnictwa. Nie sprzątałam specjalnie przed jego przyjściem. Nie chciałam tworzyć wrażenia, że ktoś odwiedzający mnie zawodowo musi zobaczyć idealnie uporządkowaną przestrzeń.

Radosław pojawił się punktualnie. Przyniósł płócienną torbę, z której wyjął dwa notesy, kilka wydruków i niewielką książkę z pozaginanymi rogami stron.

— Widzę, że przygotował się pan na dłuższą wizytę — powiedziałam, odsuwając krzesło.

— Nie wiedziałem, ile będzie pytań.

— Dużo.

— W takim razie dobrze, że nie przyszedłem z pustymi rękami.

Zdjął kurtkę i zawiesił ją na oparciu krzesła. Rozejrzał się po pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na dużym arkuszu

papieru leżącym na stole. Była na nim narysowana mapa dzielnicy, ale bez nazw ulic. Zamiast nich umieściłam drobne ilustracje: fragmenty murów, okna, schody, drzewa i wejścia do podwórek. Nie była jeszcze ukończona.

— To pani projekt? — zapytał.

— Jeden z nich.

— Ładny.

— Nie musi pan mnie chwalić, żebyśmy mogli pracować.

— Nie chwalę z obowiązku.

Powiedział to tak zwyczajnie, że nie znalazłam odpowiedzi. Zauważyłam natomiast, że nie dotknął arkusza, choć leżał tuż przed nim. Poczekał, aż sama przesunę go w jego stronę.

Ten drobiazg nie umknął mojej uwadze. Wczoraj podczas spaceru miałam wrażenie, że wszystko chce poprawiać. Dzisiaj zachowywał się inaczej, jakby wiedział, że w mojej pracowni nie jest gospodarzem.

Zrobiłam kawę dla nas obojga. Kiedy wróciłam do stołu, rozłożył swoje notatki w niewielki, uporządkowany stos.

— Zacznijmy od konkretów — zaproponowałam. — Mamy stworzyć spacer, który będzie trwał około dziewięćdziesięciu minut. Dziewięć lub dziesięć punktów, bez obowiązkowych atrakcji turystycznych. Trasa ma być możliwa do przejścia w zwykłym tempie, z uwzględnieniem przerwy i alternatywnego wariantu.

— Dziewięćdziesiąt minut może być trudne, jeśli chcemy rozmawiać z ludźmi na miejscu.

— Nie każdy punkt musi oznaczać spotkanie z mieszkańcem.

— Oczywiście. Ale niektóre historie warto usłyszeć bezpośrednio od osób, które je tworzyły.

— Pod warunkiem że będą chciały je opowiedzieć.

— Zgadzam się.

Wyjął jeden z notesów i otworzył na stronie, na której widniało kilka nazwisk. Nie było przy nich adresów ani szczegółowych informacji. Zauważyłam tylko krótkie dopiski: „warsztat — zapytać o zgodę", „kiosk — brak decyzji", „plac — wspomnienia mieszkańców".

— To kontakty, z których możemy skorzystać — wyjaśnił. — Nie wszystkie osoby zgodziły się jeszcze na udział. Niektóre chciały najpierw dowiedzieć się, jak dokładnie będzie wyglądał projekt.

— I co im pan powiedział?

— Że nie będziemy publikować niczego bez ich zgody.

Przesunęłam notes bliżej siebie. Podobało mi się, że nie potraktował tych ludzi jak gotowych materiałów do wykorzystania. W pracy często spotykałam się z oczekiwaniem, że jeśli ktoś pojawił się na zdjęciu lub opowiedział anegdotę, automatycznie stawał się częścią cudzego projektu. Sama nie chciałam tak pracować.

— Dobrze — powiedziałam. — Chciałabym, żebyśmy przy każdym punkcie ustalali, co możemy pokazać, a czego nie. Jeśli ktoś nie chce podać nazwiska, nie podajemy go. Jeśli nie chce zdjęcia, nie robimy zdjęcia. I jeśli uzna, że nie chce być częścią spaceru, szukamy innego rozwiązania.

— To rozsądne zasady.

— Nie chcę, żebyśmy mieli później różne definicje słowa zgoda.

— Nie będziemy mieli.

W jego odpowiedzi było coś stanowczego, ale tym razem nie odbierałam tego jako próby narzucenia mi zdania. Mówił o czymś, co najwyraźniej uważał za równie ważne jak ja.

Przeszliśmy do kolejnej kwestii: samego przebiegu trasy. Radosław przedstawił propozycję kolejności, w której poszczególne miejsca układały się w logiczną opowieść o rozwoju dzielnicy. Zaczynała się przy dawnej fabryce, przechodziła przez ulicę z zachowanymi budynkami mieszkalnymi, a kończyła przy niewielkim placu.

— To ma sens historyczny — powiedziałam. — Ale niekoniecznie emocjonalny.

— Co to znaczy?

— Ludzie nie muszą poznawać miasta w kolejności, w jakiej powstawało. Możemy zacząć od miejsca, które wygląda niepozornie, a dopiero później pokazać, dlaczego jest ważne.

— Tylko że bez kontekstu mogą nie zrozumieć, co oglądają.

— Właśnie dlatego będziemy opowiadać historie. Nie zamierzam robić z tego lekcji chronologii.

Przez chwilę przyglądał się mojej mapie. Potem wskazał niewielki rysunek przedstawiający schody prowadzące do dawnego budynku mieszkalnego.

— Chciałaby pani zacząć tutaj?

— Rozważam to.

— Jest jeden problem. Wejście od tej strony jest dostępne tylko w określonych godzinach.

— To można sprawdzić.

— Sprawdzałem. Właściciel budynku nie chce, żeby grupy przechodziły tamtędy bez wcześniejszego uzgodnienia.

— W takim razie zapytamy go o zgodę.

— A jeśli odmówi?

— Wykreślimy to miejsce.

Radosław przyjrzał mi się przez chwilę.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu. Nie zamierzam przekonywać nikogo, że nasz projekt jest ważniejszy od jego spokoju.

— Dobrze. W takim razie przygotuję alternatywę.

— Przygotować może pan propozycję. Decyzję podejmiemy wspólnie.

Zatrzymał ołówek nad kartką. Nie skomentował mojego zastrzeżenia, ale zauważyłam, że zapisał je w notesie.

Pracowaliśmy przez kolejną godzinę. Rozmawialiśmy o odległościach, czasie przejścia i miejscach, w których grupa mogłaby się zatrzymać bez blokowania chodnika. Radosław znał szczegóły, których nie dało się znaleźć w internecie. Wiedział, kiedy w jednej z ulic pojawia się poranny ruch dostawczy, gdzie chodnik zwęża się przy remontowanym budynku i które wejście do dawnego obiektu jest obecnie niedostępne.

Ja natomiast potrafiłam spojrzeć na całość z perspektywy osoby, która nigdy wcześniej nie była w tej dzielnicy. Zauważałam miejsca, w których mapa stawała się nieczytelna, gdzie oznaczenia zaczynały konkurować ze sobą i gdzie zbyt wiele informacji odbierało użytkownikowi ochotę do samodzielnego odkrywania przestrzeni.